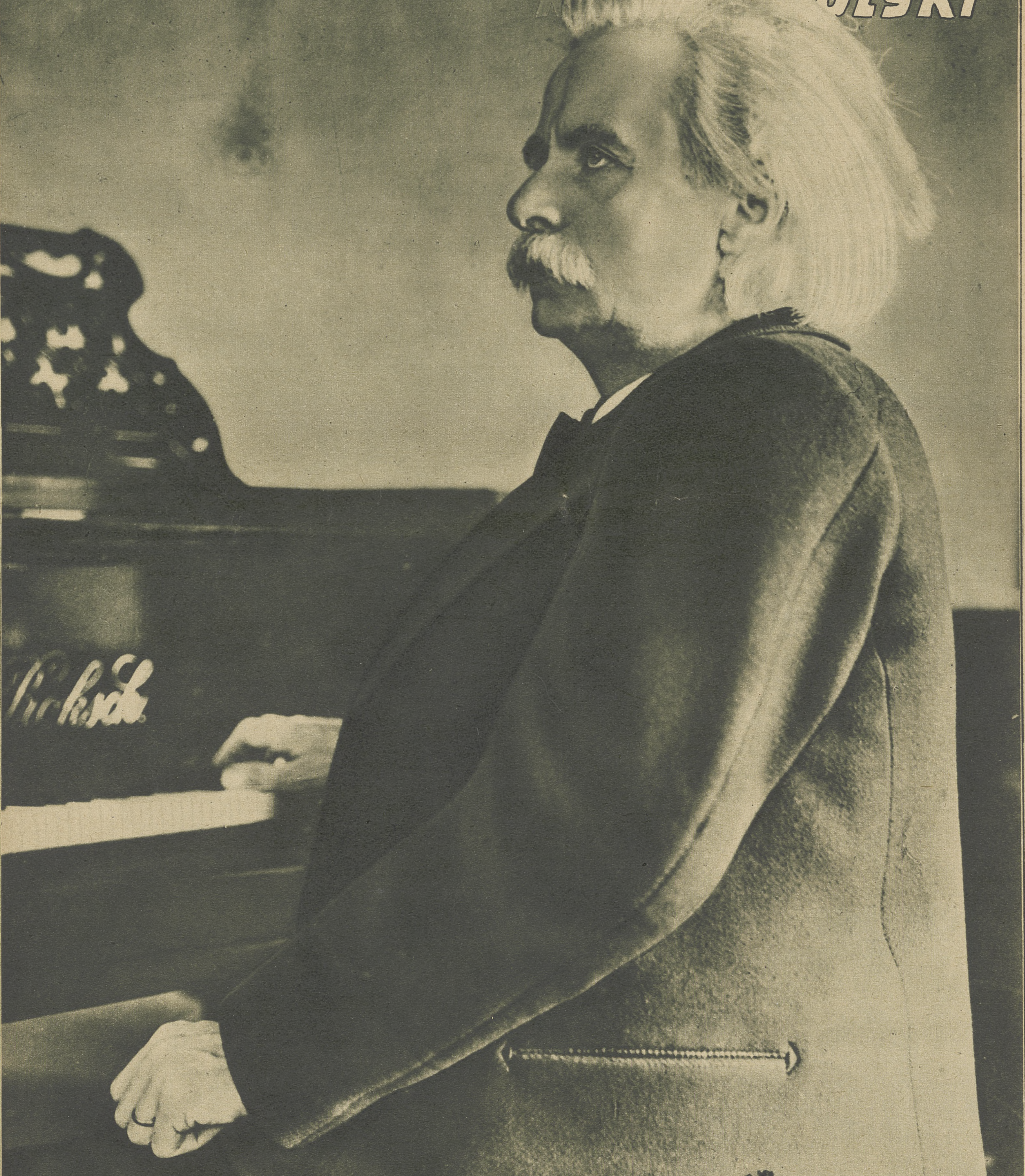
Nr. 25 Rok 4 Kraków, dnia 20 czerwca 1943. 40 gr.

Ilustrowany

OLSKI



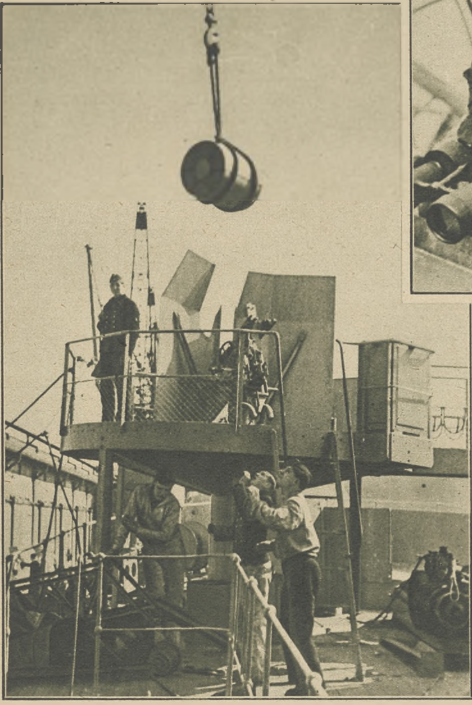
EDWARD GRIEG

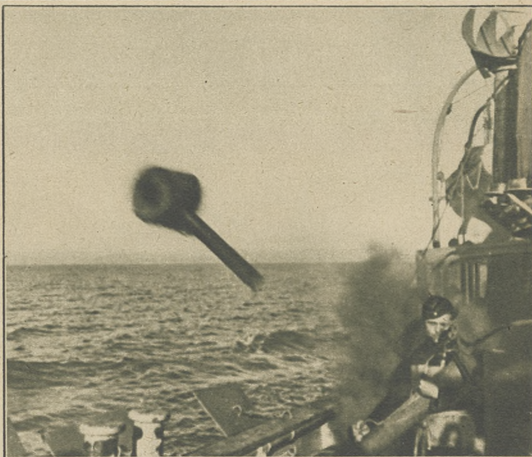
w stuletnią rocznicę urodzin wielkiego kompozytora skandynawskiego

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Na prawo: Włoska łódź podwodna w czasie wyprawy na nieprzyjaciela. Kapitan i jeden z oficerów obserwują bacznie powierzchnię morza, aby nie narazić się na żadne przykre niespodzianki.







POŚCIGOWE ŁODZIE PODWODNE NISZCZĄ NIEPRZYJACIELSKĄ ŁÓDŹ PODWODNĄ

Powyżej: Załoga niemieckiej pościgowej łodzi podwodnej ładuje przed wyjazdem na morze bomby na swój pokład. Na prawo u góry: Odkryto nieprzyjacielską łódź podwodną. Rozpoczęła się walka. Rzucono pierwsze bomby. U dołu: Przeciwnik został zniszczony. Ciemna tłusta plama wskazuje, że bomba ugodziła celnie łódź. Ostatecznie zatapia łódź podwodną bomba rzucona z włoskiego samolotu, towarzyszącego niemieckim łodziom podwodnym.

Fot. PK. Schötteldreyer, Beilstein, Haupt-PBZ, Vedua-Atl., Luce-Sch.





Spotkanie się niemieckiej łodzi podwodnej z włoską łodzią podwodną na Morzu Śródziemnym.

NAD RZEKĄ KUBAŃ





Na lewo: Niemiecki oddział zwiadowców płynie w worku gumowym na jednym z licznych kanałów w obszarze Kubania ku pozycjom nieprzyjacielskim.
U dołu: Niemieccy grenadierzy w drodze na front.



Po zbombardowaniu pozycyj bolszewickich przez samoloty „Stuka" — podsuwa się niemiecki oddział szturmowy na pozycję wyjściową do ataku.

Fot. PK. Leopold 2, Lohrer, Meier-Sch., Hoffmann PBZ.

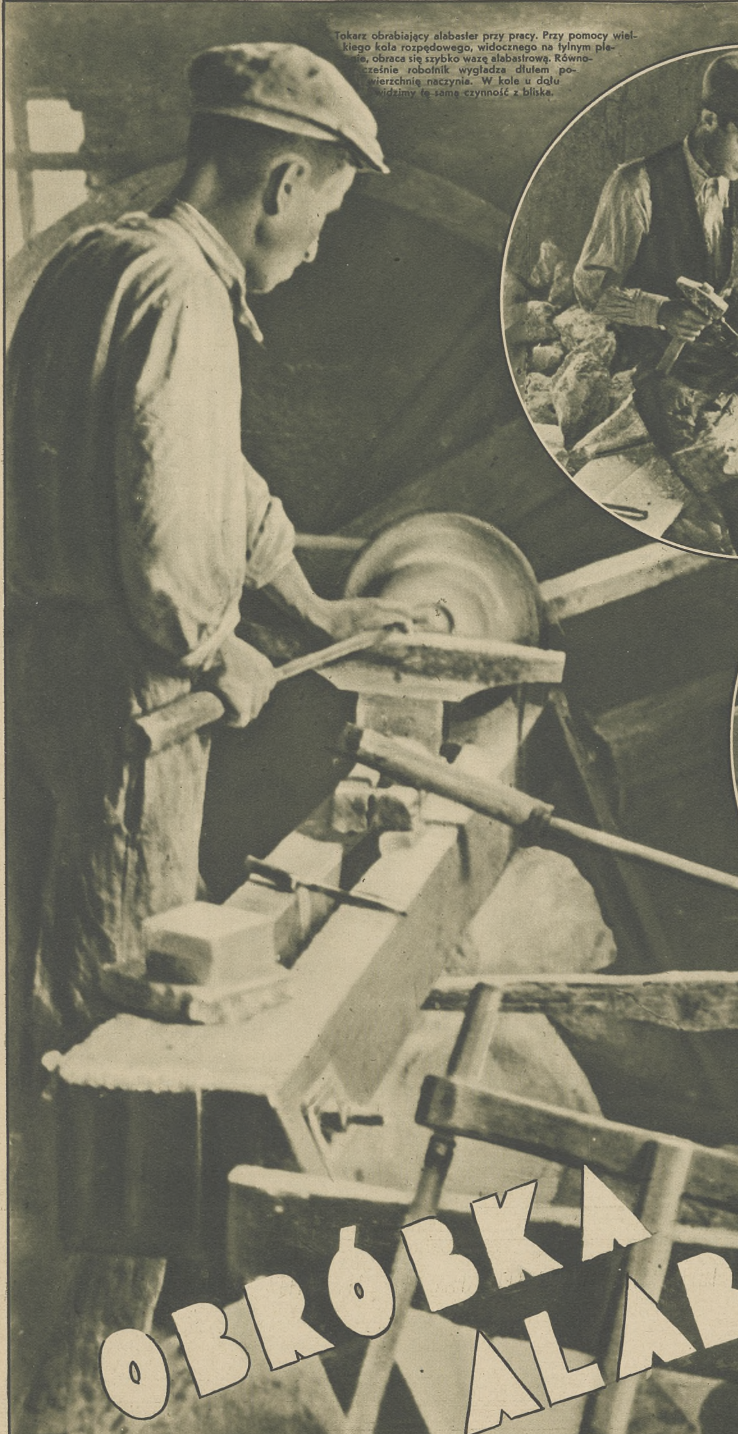




Powyżej: Oddział szturmowy dotarł na pozycję wyjściową i oczekuje na rozkaz do zaatakowania okopów bolszewickich.

Na prawo: Lotnik należący do załogi niemieckiego bombowca przygotowuje się do nowego ataku w okolicach Kubania.

OBRÓBKA ALABASTRU



Tokarz obrabiający alabaster przy pracy. Przy pomocy wielkiego koła rozpędowego, widocznego na tylnym planie, obraca się szybko wazę alabastrową. Równocześnie robotnik wygładza dłutem powierzchnię naczynia. W kole u dołu widzimy tę samą czynność z bliska.



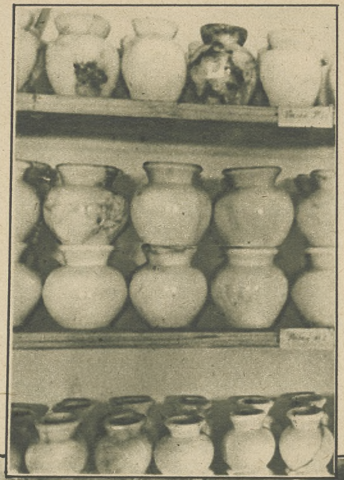
Przy pomocy młota i dłuta przysposabia się bloki surowego alabastru na materiał odpowiedni dla tokarni.





Fot. Transocean (Röhrich)

Wapień ten pospolity minerał, używany przy budowie domów ma kilku szlachetnych kuzynów. Do nich należy marmur i alabaster. Ten ostatni nie jest niczym innym, jak tylko szlachetną odmianą gipsu. Nazwa jego wzięła początek od nazwy egipskiego miasta Alabastron. Marmur i alabaster występują głównie w środkowej i południowej Europie, największe zaś złoża znajdują się w krajach leżących nad Morzem Śródziemnym. Podobnie jak marmuru, mamy kilka gatunków alabastru różniących się między sobą zabarwieniem białym, czerwonym i szarym. Najwięcej cenionym jest marmur biały, którego używa się nie tylko na wyroby ozdobnych naczyń i innych przedmiotów codziennego użytku, lecz również jako materiału na dzieła rzeźbiarskie. Jego estetyczne piękno polega na fakcie, że jest on przeźroczysty dla promieni świetlnych, dzięki czemu popiersia i posągi wykute z alabastru mają w sobie o wiele więcej życia, aniżeli z marmuru lub brązu.



Na lewo i na prawo: Kilka gotowych już przedmiotów z pracowni wyrobów alabastrowych pod Stanisławowem. Oprócz waz, flakonów i przedmiotów użytkowych sporządza się również figurki zwierząt.



Na prawo: Pył powstający przy obróbce alabastru wypala się na gips alabastrowy.



Do pracowni zwożą wydobyte w najbliższej okolicy bloki alabastru, które znajdują się w tamtejszych kamieniołomach wciśnięte pomiędzy złoża marmuru.

SMOK W MUKDENIE



Fot. Witzleben i Peters

Miasto milionowe, Mukden, jest jednym z największych i najważniejszych ośrodków przemysłu i handlu cesarstwa Mandżukuo. Panuje w nim przeciętny ruch wielkomiejski. Niekiedy jednak zmienia się obraz miasta, a dzieje się to w dniach, kiedy jego mieszkańcy obchodzą uroczyście swe prastare święta ludowe. Dziwny kontrast stanowią wtedy, malownicze kostiumy i tradycyjne obrzędy z trzeźwym, nowoczesnym tłem kamienic, gmachów i ulic współczesnego wielkiego miasta. Jednym z najwspanialszych obrzędów jest **taniec** na szczudłach. W uroczystym pochodzie udają się tancerze na plac, na którym mają się odbyć obrzędowe tańce wśród dźwięków orkiestry przygrywającej na dziwacznych instrumentach mandżurskich. Tańce te wyobrażają symbolicznie walkę człowieka ze złymi duchami. Punktem kulminacyjnym uroczystości jest walka i pokonanie olbrzymiego smoka. „Zwycięstwo" nad szmacianym smokiem symbolizuje triumf duszy nad jej grzechami.

3-ci ciąg dalszy



Czyż jej małżeństwo z Wacławem nie było jedną wielką, tragiczną omyłką? Czyż nie o nim właśnie najbardziej myślała, że oto w mrokach jej tęsknoty błysnęło najprawdziwsze słońce? Tak jasno przecież zrobiło się w jej życiu od tego światła, które mignęło jeno, zalśniło, rozsmuzyło się złotem na całym firmamencie jej istnienia, poto tylko, by przeminąć z hukiem, zgasnąć szybko i wtłoczyć ją bezmiłosiernie w ponurą, otchłanną ciemność.

A przecież kochała go tak bardzo, tak bardzo, i tak śmiesznie bezinteresownie. Przecież nie miał nic, kompletnie nic, ani stanowiska, ani majątku, ani pieniędzy, ani porządnego ubrania nawet... Nie miał czym opłacać uniwersytetu... Za to miał wysoką postać, szlachetną głowę, a na niej bujną płową czupryne, złocisto-piwne oczy — i cudownie piękny głos.

I ona, Joe, jasnowłosa wątła dziewczyna pokochała to wszystko z siłą ślepej wiary. Przyjął tę miłość. Nawet wydawałoby się że ją gorąco odwzajemniał. Pobrali się. Joe była dobrą partią: dobrze urodzona, inteligentna, niepospolicie uzdolniona, miała doskonałą a pewną posadę, duże dochody uboczne jako świetna rysowniczka — nie użalała się na żadne braki.

Jak na taśmie filmowej przesuwają się we wspomnieniach Joe obrazy, jeden za drugim. Jakże była szczęśliwa! Wszystkich wyparła się dla niego, bo nikt go jakoś nie chciał, rodzeństwo ani krewni. Nikt mu jakoś nie ufał — prócz Joe. Przeżyli dużo chwil pięknych i chwil ciężkich — razem.

Największą jej rozkoszą było słuchać go i patrzeć na niego, gdy śpiewał. Zawsze była z nim na chórze w kościele i patrzyła w jego twarz z rozchylonymi ustami i oczyma pełnymi nieziemskich lśnień. Cudny aksamitny baryton zdawał się rozbijać kościelne sklepienie, a twarz jego była natchniona i zmieniona — był to najprawdziwszy on, jego najistotniejsza jaźń, najprawdziwsze przeznaczenie. Wydawał się wówczas Joannie jeszcze wyższy niż był, jakiś szerszy, potężniejszy, niemal kolosalny. Nie był wstanie popełnić takiej winy, takiego grzechu, takiej zbrodni, których by nie umiała przebaczyć mu wtedy... Często też żartował z niej, że właściwie żonę ma dopiero, gdy śpiewa... Istotnie, Joe była wówczas bardziej niż zwykle pieszczotliwa, uległa i spokojna, szczęśliwa.

Miłość Joe była naiwna i platoniczna. Delikalna, zawsze nie nazbyt zdrowa i silna, nie dorosła jeszcze do roli żony. Było w tym zresztą dużo winy samego Wacława.

Niespodziewanie Joe zapadła na jakąś dziwną a straszną niemoc, długotrwałą. Konsylium lekarskie zabroniło jej wszelkiej pracy, nakazało wyjazd do sanatorium, stały pobyt na wsi, ciszę i zupełny spokój.

Charaktery ich, usposobienia, zamiłowania — poczęły się ścierać. Walczyli — każde z sobą i z partnerem życiowym. Potęgowało to słabość Joe. Wacław natomiast usamodzielnił się już, odżył, nabrał tężyzny, siły i pewności siebie. Gdy w dodatku otrzymał stanowisko poczuł się panem sytuacji.

Lecz mimo to danem było Joe przeżyć jeszcze krótkie chwile radości. Byli oto razem na Podhalu dla niej, dla Joe. Wracali skądś wieczorem. Przystanęli nad błękitnym zakrętem górskiej rzeczułki, w gaju formalnie zasypanym kwiatami. Wacław objął wpół delikatną figurkę Joe i naprzód począł nucić z cicha, a potem zaczął śpiewać głośno ulubioną nad wszystko przez Joe „Piosnkę żołnierską" Moniuszki.

— Już gwiazdka błysnęła!
Już matka zasnęła!
Tu gaik... tu cień...

Wsparła się o niego i zamknąwszy oczy z drżeniem serca wsłuchiwała się w pieśń.

Słabnąca miłość zrywała się w niej wtedy, jak ptak zawracający z drogi, którą zamierzał odlecieć. Czar ogarniał ją znów — i znów była szczęśliwa i ufna, że to wszystko jakoś przejdzie, wyrówna się, wygładzi. Przecież gdyby tylko chciał, mogłaby być tak bezmiernie szczęśliwa. Od niego wszystko zależało. Miał na nią taki ogromny wpływ — a nie umiał go wykorzystać.

...Wyjdź dziewczę cichutko
Powrócisz raniutko
Nim zbudzi się dzień...

Ileż myśli przebiegało zawsze przez głowę Joe, gdy Wacław śpiewał. Miała zazwyczaj ochotę rzucić mu ręce na szyję i prosić w łkaniu: Pomóż mi! zrób coś, bym była mocna i zdrowa! Ratuj mnie! Postaraj się mnie rozumieć!

... — Nikt ojcu nie powie
Nikt matce nie powie
Ni gaik, ni zdrój...

Piosnka niosła się po okolicy, jak śpiew archanioła. Górale powyłazili z chałup i przystanęli opodal, zasłuchani.

Serduszko bijące...
Usteczka gorące...
O, skarbie ty mój!!

Oto łzy kropliste, olbrzymie, stoczyły się w mroku nocnym na płonące policzki Joe, i wsiąkły w poduszkę... Wspomnienie tego wieczoru na Podhalu i tej pieśni było dla niej zawsze bezmiernie smutne.

Bo potem jednak zamiast coraz lepiej, było coraz gorzej... i z Joe, i z nimi w ogóle... Wacław stał się niewolnikiem jej nieszczęścia i wreszcie poczęło go to niecierpliwić. A Joe... Joe była po prostu chora — nic więcej! I nie można było ani mieć do niej żalu, ani jej potępiać, ani winić...

... a runął cios w umęczoną już i tak duszę Joanny. Wacław poznał inną, zdrową, rozkochaną w nim bezkrytycznie, mającą i chęć i siły do zapewnienia mu wygód, których żądał... Bezlitośnie zerwał małżeństwo i urządził się tak sprytnie, że Joe ani się spostrzegła, gdy wróciła do panieńskiego nazwiska.

Omal życiem nie przypłaciła tego.

Kilka lat nieludzkiej męki... rozpaczy... oszalałej tęsknoty, targaniny... Okrutna a jałowa wiwisekcja na swoim własnym „ja" — kto winien? Czy naprawdę tylko ja? — Czy naprawdę tylko on?

Jasne oczy Joe posmutniały na zawsze. Oduczyła się też beztroskiego śmiechu. Czas cierpliwie nakładał plastry na krwawiące serce, wzburzony umysł zwolna przycichał — poczęła również przechodzić przeklęta słabość. Wracało zdrowie! Wróciło niespodziewanie olbrzymie pragnienie życia!

I wówczas... wówczas... tak bardzo w porę i tak bardzo nie w porę... poznała Ernesta.

Wszystko rozpętało się w niej, jak cyklon. Straszliwy, nieopanowany żywioł pierwszy raz w życiu porwał i uniósł Joannę. Poddała się tej rozkosznej sile, która napełniała ją nieludzkim szczęściem.

Wpatrując się milcząco w lazurowe gwiazdy jego oczu uśmiechała się rzewnie, a po jej pół na pół szczęśliwym sercu tłukła się trwożnie prośba poetki:

„Daj mi zapomnieć o łzach, które są już poza mną
i pomóż mi nie myśleć o tych, które być jeszcze mogą...
a stanie się jak każesz: serca nasze nigdy się nie rozstaną
albo odejdą od siebie — każde swoją drogą!!!

Joe nie wiedziała, że wybrano ją na zabawkę, na chwilową wdzięczną rozrywkę, bez krzty uczucia, bez szacunku nawet... Ernest bez skrupułów sięgał po każdy kwiat, który wyrastał na jego drodze, nie zastanawiając się bynajmniej, czy postępuje słusznie i uczciwie, czy nie.

Zdobywszy — nasycał się szybko. Począł pospiesznie wycofywać się, zatrwożony uczuciem, którego wcale sobie nie życzył... Nie uznawał miłości, nikomu z siebie jej nie dawał i od nikogo nie żądał. Nie była mu potrzebna, a zobowiązywała — czego on nie chciał. Zresztą — pokazało się potem — nie był wolny. Miał żonę, dzieci...

Zaczął kłamać, oszukiwać, wykręcać się, jak mógł. Joe próbowała jeszcze łudzić się, wierzyć, walczyła z sobą, szarpała się jak zwierzę na uwięzi — by wreszcie zrozumieć, że to wszystko na nic, że serce rzuciła w śmiecie. Zdobyła się na nadludzki wysiłek i skończyła. Runęło wszystko, grzebiąc w gruzach całe jej życie.

Przyszło lato

Przyszło lato w kapeluszu skrzydlatym,
niesie naręcz kwiatów wonnych i modrych
i od chaty spaceruje do chaty
poprzez okna mówiąc ludziom „dzień dobry!"

Koneweczką poi kwiaty w ogródku
i uśmiecha się zalotnie, kapryśnie,
a sukienkę ma tak zwiewną i krótką,
że aż wstydem zapłoniły się wiśnie.

W przedpołudnie brodzi boso po łąkach
siejąc w trawie główki białych stokroci
a nocami w czarnym borze się błąka
i w mchach miękkich szuka kwiatu paproci.

Przyszło lato i codziennie nad ranem
czesze warkocz pod jaśminu krzakiem;
dzwonią piosnkę, zakochaniem pijane,
blaskiem włosów rozbudzone, ptaki.

Popatrz... lato uśmiechnięte kroczy,
pozwól sercu dojrzeć barwą miłości,
bo gdy jesień barki smutkiem przytłoczy
możesz dostrzec, żeś swe lato przeoczył...

Pozwól sercu dojrzeć barwą miłości...

Krystyna Wodnicka

Joe wspominając teraz tamte dni, sama sobie nadziwić się nie mogła, że męka i hańba nie zabiły jej wówczas. Nie rozumiała, czego od niej chciano i co z niej uczyniono. Miłość wszystko tłumaczy, a gdy nie ma miłości nie ma wytłumaczenia. Joe miała wrażenie, że bez potrzeby wyszarpano z niej wszystko: cześć kobiecą i godność ludzką, duszę, serce, myśl... Przeokropny tępy ból zagnieździł się w niej. A wiara rozsypała się w proch — i nie było już poco żyć, na co czekać, nie było czego pragnąć, bo w ogóle nie było nic... nic... Przede wszystkim jednak nie można było zrozumieć! zrozumieć!! pojąć!!

Zaszyła się w domu swoim, jak borsuk w jamie. Potworny lęk przed duszą mężczyzny opanował ją tak, że drżała cała. Tymczasem tuż, tuż, obok... Anna... też! Przez dwadzieścia lat swego zupełnie sierocego życia kochała jednego tylko mężczyznę. Wykorzystał, nadużył, zdeptał — poszedł!!

Gdy Anną targał suchy szloch, od którego omal nie skonała na miejscu, ona, Joe, objęła skronie drżącymi rękami i zapatrzyła się gdzieś w kąt pokoju oczyma, coraz szerzej otwierającymi się z przerażenia...

Wrażenie: jakieś stopy brudne, twarde, okute gwoździami, spacerowały po sercu tam i z powrotem, tam i z powrotem... Równocześnie dziwne, straszliwe uczucie: Pojęcie! Zrozumienie! I ohydna, koszmarna jakaś ulga, bo gryząca jak skorpion:

— ... więc to tak?? Zawsze! Jednako!! Wszyscy!!

Malała wina Wacława. Bladła wina Ernesta. Słabło przebolesne poczucie jakiejś fatalnej wyłączności.

Po prostu życie! — ot, i wszystko!

I oto życie właśnie nasunęło jej znów obraz. Joe myślała, zapatrzona w ciemny sufit, czy będzie tylko widzem, czy czymś więcej? A jeżeli czymś więcej, to — czym?

Wiedziała już z dawna, że Robertowi nie jest obojętna. Ale nie orientowała się absolutnie w kategorii i nasileniu tego uczucia. Jakkolwiek pamiętała jeszcze ból, który jej zadali mężczyźni, podchodziła do Roberta życzliwie.

Wiedziała, że na szczerość nikt go nie naprowadzi. Musiała więc odgadywać prawdę o nim. Życie przychodziło jej z pomocą. Jeżeli nie zetknęła się z nim bezpośrednio, często miała możność słyszeć o nim. Chętnie słuchała i skrzętnie zbierała zdania i słowa, wypowiadane przez ludzi, którzy go długo znali i — lubiąc — okazywali się w opinii swej raczej pobłażliwi.

Pewnego dnia Lena czuła się słaba i zmęczona. Joe zmusiła ją do położenia się i otuliwszy kocem plecy i nogi siostry, usiadła przy niej. W braku innego zajęcia cerowała pończoszki siostrzeńca. Lena zamknęła oczy. Zdawała się zasypiać. Joe szyła w milczeniu, nie poruszając się. Myślą zawisła nad dalekim miastem.

Oczy jej zasnuły się mgłą smutku, a na twarz padł tak wyraźny cień, że Helena (Joe była pewna, że siostra śpi) podniosła ramię i położyła dłoń na jej ręce.

— Co jest, Joe? Co ci się stało?

— Co takiego? O co chodzi?? — spytała Joanna. Serce biło jej szybko i nierówno.

Zapadło znów milczenie.

— Jak ci się podoba Robert? — padło nagle pytanie, rzucone cichym i podstępnie obojętnym głosem.

Ręce Joe wraz z robotą opadły raptownie. Drgnęła.

— Robert?... Skąd ci Robert przyszedł do głowy?

— A wiesz... tak jakoś... przypomniał mi się!

Joe schyliła twarz nad pończoszką.

— Owszem! bardzo (akcent!) mi się podoba!

— Szalenie miły chłopak, prawda? Wydaje mi się, że go lubisz!

— Bardzo! (akcent!)

— Obawiam się, Joe, by z tych waszych leśnych przyjemności i bridża nie wynikła jakaś historia...

— Jaka?

— A, widzisz... (Lena zacięła się) widzisz... Klara jest zazdrosna, jak szatan...

— ... więc co z tego?

— Jakto co? Piekło będzie!!

Joe odłożyła robotę.

— Piekło? A któż je będzie miał?

— On! — i ty!

Usta Joe wydęły się z niesmakiem. Pogłębiło się w niej uczucie przymusu i zmęczenia, jakie zbudziła w niej od pierwszej chwili narzeczona Roberta.

— Co ja mam wspólnego z tym? Co mnie to obchodzi!

— Ona się boi, rozumiesz?! boi się...

— Czego, do licha?

— O Roberta! By jej go inna nie odbiła.

Joe oparła się mocno plecami o łóżko. Zamyśliła się. Tak! jej serdeczność dla Roberta była widoczna, skoro Helena żywiła obawy. Tamta więc chyba tym bardziej... Ale on, ale Robert?...

— Ach, nie! nie!! — Joe parsknęła śmiechem w głos. Robert miałby myśleć, że ona chce go zabrać tamtej? Nie! Można było posądzić Roberta o zarozumiałość, ale nigdy o głupotę.

A jednak... Natarczywa myśl zgasiła jej śmiech. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Nie byłoby w tym wcale jego winy. Nie taiła przecież ani przed nim, ani przed innymi, swego zachwytu. Zawsze uśmiechnięta, serdeczna, nawet nieco zalotna, ot, jak młoda kobieta w obecności młodego mężczyzny, instynktownie, ale świadomie. Tak! Helena ma słuszność! Lecz nie chodziło ani o Lenę, ani o Klarę (eh, o Klarę...) — chodziło o Roberta.

Pod skórą zapulsował nagły niepokój. Ale zaraz ustąpił. W miejsce jego przypłynął trzeźwy pogląd:

— Robert tak, czy tak jej nie kocha. On nie jest zdolny do żadnego głębszego uczucia.

— I ja tak sądzę! — rzekła w zamyśleniu Lena.

Zaś Joe po chwili:

— A może się mylimy obie... Może wszyscy się mylą! Pod maską chłodu i wewnętrznej pustki może rozmyślnie ukrywać uczucia, których nie chce uzewnętrzniać. Dla pewnych przyczyn jest mu to — przypuśćmy — na rękę.

Helena zaczęła zwierzać swe domysły siostrze. Sięgnęła pamięcią wstecz i rozumowała głośno:

Byli narzeczonymi od dwóch lat. Mieszkali w jednej willi. On na piętrze, jak inni urzędnicy fabryki, — ona z matką na parterze. Matka prowadziła zbiorowe gospodarstwo. Robert jej oddawał wszystkie pieniądze i świadczenia w naturze. Dbano o niego do przesady — a jednak nie żenił się. Dlaczego? Nic nie stało na przeszkodzie. Niegdyś ją kochał! Teraz — wszyscy zgodnie twierdzili — nie! Grała mu na nerwach (och, Joe przytaknęła głową bez zastrzeżeń). Ona podobno kochała go (Joe zaprzeczyła bez zastrzeżeń). Zrywali już kilkakrotnie. Jakoś pogodzili się. Ponoć on pierwszy występował. Kłócili się jednak wciąż. Zarzucała mu, że nic jej z siebie nie daje, nie poświęca, a przecież gdyby nie on mogła była zrobić karierę itd. On nie ustępował. Robił swoje. Wzajemnie czuli się za mało kochani. A jednak trwali przy sobie.

„Narzeczeństwo" było właściwie sprawką Klary. Za wszelką cenę parła do ślubu. Robert odmawiał kategorycznie. Dlaczego — nie wiadomo, bo nigdy nikomu się nie wytłumaczył. Nie chciał i już!

Joe tego wszystkiego nie mogła zrozumieć.

— My wszyscy tutaj — mówiła Lena — jesteśmy jednego zdania: honor tylko nie pozwala mu cofnąć się! honor i — wygoda!

Tej nocy Joanna długo nie mogła zasnąć. Myślała o Wacławie. Nie wprost, ale pośrednio — bo o Robercie.

Nie uważała go bynajmniej za ofiarę losu, czy wyrafinowanej kobiety. Robertowi narzucić coś było iście niepodobieństwem. Robił tylko to, co chciał. Musiał być jakiś powód, że chciał.

Co było powodem?

— Miłość?

Gdyby kochał, ożeniłby się bez zwłoki. Miłość dąży do jak najszybszego zdobycia ukochanej istoty. Przy tym jednak... jednak byłby inny... Joe wiedziała i z własnego doświadczenia i z obserwacji, że miłość jest żywiołem, któremu trudno

nałożyć hamulce. Jeżeli nawet można opanować jej przejawy, to tylko do pewnego stopnia.

Zatem — honor?!?

Ponieważ nie istniały żadne przeszkody tym bardziej powinien się żenić, albo poprosić o zwrot słowa, jeżeli istotnie czuł się zobowiązany. Honor męski nie dopuszczał trzeciej ewentualności, zwłaszcza, że dziewczyna stała się wreszcie — lubo z własnej winy — przedmiotem złośliwych uwag, szyderstw i kpin.

— A zatem: pozostawała wygoda (jak wyraziła się Lena). Czyżby mu istotnie na tym tylko zależało? Czy właśnie to było motorem postępowania Roberta? Czy możliwe?

Joe gubiła się w myślach, jak w gęstym lesie. Nie mogła zrozumieć . . .

Jakże nie dawno jeszcze też nie rozumiała! . . . Na nic zdały się myśli! Na nic zdała się męka! Rozszlochana w bezsenne noce wzywała niegdyś imieniem najdroższym — na próżno! Nie poskutkowały prośby i łzy. Długo, długo, nie mogła zrozumieć i dopiero wtedy . . . gdy z Anną . . .

— Zrozumiała! To takie przecież proste: każdy z nich przyszedł — bo chciał, odszedł — bo chciał!

Robert zrobi to samo z Klarą: zostanie lub odejdzie — jak zechce . . .

Joe coraz częściej myślała, że . . . odejdzie! Robert był niezwykle solidny wobec narzeczonej, gdy o niej mówiono, zachowywał się pozornie bez zarzutu, ale sympatia, a nawet coś znacznie więcej niż sympatia do Joanny uderzyło wreszcie wszystkich i ją samą.

To, czego obawiała się Lena, przyszło niespodziewanie szybko. Zaproszona na bridża Joe spotkała się z niegrzecznym przyjęciem ze strony matki Klary — Joe więcej na karty nie poszła. Obie panie, zetknąwszy się z Joanną, bynajmniej nie ukrywały swej antypatii, jakkolwiek pozornie nic nie uczyniły. Było to dla Joe największym pewnikiem, że Robert stanął po jej stronie. Ale sam Robert przestał bywać u Staszków (Klara zaprzestała już dawno) i wreszcie wszelkie stosunki nie tylko przyjazne, ale nawet towarzyskie między dwoma domami zostały zerwane.

Wszystko wokół trzęsło się od plotek. Na Joe patrzono, jak na raroga. I znów arogancje . . . Nieprzyjemności (Robert nie żałował sobie . . .) z Klarą i jej matką. I — w dalszym ciągu sytuacja tajemnicza, nierozwikłana, wreszcie dla Joe męcząca.

Robert oświadczył narzeczonej, że żadnych zamiarów matrymonialnych wobec Joanny nie ma, jak również ona sama wobec niego. Orzekł dosadnie, że towarzystwo tej kobiety ze względu na nią samą, jak i jej niepospolitą inteligencję (och, to był pod adresem Klary cios okropny!) jest dla niego najwyższą przyjemnością. Orzeczenie to sprawiło, że Klara znienawidziła Joannę. Tym bardziej, że ono w założeniu swym niczym nie tłomaczyło wstrętu Roberta do małżeństwa. Przeciwnie: opinia publiczna zadecydowała, że jeżeli Robert faktycznie ulegał wahaniom, teraz przestanie się wahać.

Joe nie wiedziała sama, co o tym wszystkim sądzić. Coś ich ogromnie zbliżało i coś jednocześnie rodzielało. Na myśl o nim odczuwała słodki niepokój, ale i niepewność. Bo Robert wprawdzie okazji nie szukał, ale gdy zdarzyła się sama, pogłębiał jeszcze tę niepewność.

Przypadała właśnie rocznica, czy też jakaś uroczystość miejscowego Klubu. Szwagier Joe — pierwszy inżynier fabryki — był wiceprezesem tego klubu, Robert — sekretarzem.

Urządzano piknik i brydża. Joannę — rzecz prosta — zaproszono.

Sam Robert spóźnił się nieco. Joe, dyrektor fabryki, jego żona i ktoś z zarządu, kończyli już robra, gdy postać Roberta wypełniła sobą drzwi.

Serce Joe na moment stanęło, a trzymane w rękach karty zadrżały. Nie widzieli się przecież tak dawno i tyle różnych rzeczy stało się w międzyczasie . . .

Siedziała tyłem do ściany, w której były drzwi i przy samej ścianie, więc była niewidoczna. Robert błyskawicznym spojrzeniem objął zebranych, pobiegł oczyma w kąt — dojrzał Joe, która momentalnie udała, że go nie dostrzega i pilnie grała dalej. Złożył jeden ukłon wszystkim zebranym i chwyciwszy za pierwsze z brzegu krzesło przysiadł się do stolika Joe.

— Będę kibicował? dobrze? — zaproponował ciepło.

— Proszę! Oby mi pan przyniósł szczęście!

— A jak dotąd? dopisywało?

— Owszem! nawet bardzo! Słusznie mówią, że kto ma szczęście w kartach, nie ma szczęścia w miłości . . .

Na to dyrektorowa:

— Pierwszy raz panią widzę, ale nie wierzę w to! Na pewno jest to niemożliwe!

— O, dziękuję! Pani jest doprawdy bardzo uprzejma!

— Nie, szczera! — brzmiało przyjemne zaprzeczenie.

Oczy Roberta jaśniały, jak gwiazdy. Twarz promieniała mu i mieniła się Joe bez trudu odgadła w nim ciche, tajone zadowolenie. Uśmiechał się, patrzył, nie mówił nic — ustami! —: oczy jego i ruchy były pełne słów.

Co chwila patrzył na Joe, ona zaś na niego tylko czasem, ale wówczas źrenice ich z trudem odrywały się od siebie. Była między nimi jakaś słodka tajemnica, tym milsza, że tak starannie ukrywana. Joe miała wrażenie, że — mimo późnego wieczoru — świat cały tonie w blaskach, a wokół gra coś cichusieńko. Dusza młodej kobiety dźwigała się z letargu, by wyjść słońcu naprzeciw!

Robra skończono. Partnerzy zmieniali się. Robert zaproponował natychmiast swój współudział. Grali razem — i przegrali okropnie. Śmiali się z tego. Spierali się, żartowali, rozmawiali wciąż . . . wciąż . . . o niczym, a o wszystkim — — —

A potem znów spotkali się za jakiś czas w kościele. Klara stała wsparta o filar, blada i zła, ale i zgnębiona nieludzko. Joe wyszła na końcu, nie chcąc spotkać się z nimi. Szła w odosobnieniu, spoglądając od czasu do czasu na oddaloną nieco sylwetkę Roberta. Na zakręcie przepuścił wszystkich przodem, tak lawirował, że znalazł się sam. Obejrzał się przeciągle za Joanną raz — drugi . . . Gdy znalazła się wreszcie na tej samej drodze oglądnął się ponownie.

Joe odniosła wrażenie, że wreszcie zbliża się chwila najważniejsza, chwila zdecydowanej świadomości, w której trzeba będzie coś powiedzieć i coś uczynić. Co? — nie wiedziała! Za nic w świecie nie byłaby potrafiła, ni chciała, wpływać na Roberta, nigdy zresztą nie miała tego zamiaru. Poza tym nie liczyła się z tym, by istotnie mogła mieć wpływ na niego. Nie znała go przecież jeszcze i Klara nie miała pojęcia o jej istnieniu, gdy już pretensje jej do Roberta przybrały zgrzytliwe dźwięki. Lecz gdyby teraz właśnie zechciał zerwać, wina bezwzględnie spadłaby na Joe, choćby ona sama — Joe — nie zamierzała korzystać z wolności Roberta. I tak też istotnie było. Joannie zawsze zależało na uczuciu, pragnęła zdobyć serce — ale nigdy osobę. I w ogóle nie zamierzała na razie po raz wtóry wychodzić zamąż, chyba w zupełnie wyjątkowych i specjalnych warunkach.

Robert nie należał do ludzi, którzy daliby sobą powodować i Joe dobrze wiedziała, że jest bezsilna, tak jak i wszyscy wokół.

A jednak odczuwała szalony niepokój, a udręka ściskała jej duszę. Bo jeżeli uczucie Roberta przechyli się na jej stronę, to Klara ją przeklnie, a wszyscy obwinią, choćby nawet uczucie to odtrąciła.

— Czy miała się stać przekleństwem Klary?

Wspomniała jej twarz zbladłą i zgaszoną. I pot kroplisty okrył ją całą, a płomienie przebiegły od czoła, aż do stóp.

A jeżeli Robert . . . jednak . . . Czy ma uciec od słońca w mrok dobrowolnie??!

Joe zabrakło tchu. Było jej potwornie źle i potwornie ciężko.

Ale — przede wszystkim, co Robert? Przecież musi nadejść chwila, w której i sobie i każdej z nich wskaże właściwą drogę! Przecież zawsze tak być nie mogło!

Joe nie wiedziała, że te same myśli i tę samą mękę niepewności przeżywała Klara.

A Robert?

Niewiadomo. Zamknął się w swoim pokoju na górze. Może czytał książkę w wygodnej pozycji na łóżku.

Ciąg dalszy nastąpi

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

Znużenie

Studium psycho-analityczne.

Studium psychoanalityczne.

Z uczuciem niezmiernej ulgi odłożyła Marta na bok ostatnią przepisaną kartkę i zamknęła wieko maszyny.

Czuła ucisk pod czaszką — męczący, nieznośny ucisk, jakby od dłuższej chwili oddychała powietrzem zatrutym dwutlenkiem węgla. Instynktownie, jak człowiek zaczadzony, dowlokła się do okna i pchnęła je oburącz wychylając się w przestrzeń. Odetchnęła głęboko ożywczym chłodem nocy, przemyła znużenie oczu kojącym lekiem cienia — i zobaczyła gwiazdy! Lśniły ostro i migotliwie, rozszczepionym tęczowo światłem, jak kryształowe pryzmy wprawione zenitalnie w kopulastą kamerę nieba. Ich wyniosła, obojętna krasa działała jak muzyka. Nie koniecznie trzeba ją było rozumieć. Wystarczyło przypadkiem wejść w orbitę jej wpływu, by natychmiast zaczęła oddziaływać harmonią kosmicznego ładu, darząc łaską uciszeń, jak żarliwa modlitwa.

Przez jakąś, bliżej nieokreśloną chwilę, była więc noc i były gwiazdy. Potem wróciło znużenie. Marta odeszła od okna. W przyległym pokoju, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, działy się rzeczy dziwne. Licznie zebrani goście trwali w pełnym skupienia milczeniu. Od czasu do czasu, ktoś głosem drżącym z przejęcia rzucał nieśmiałe pytanie. Odpowiedzi słychać nie było. Martę denerwowała ta dziwna, jednostronna rozmowa. Grobowa cisza za drzwiami, poza którymi wie się na pewno, że jest kilkanaście osób, miała w sobie coś niesamowitego.

Przeczulone nerwy wibrowały ostro, pod dyktando cudnych nastroi, skondensowanych w zamkniętym pokoju, jak w olbrzymim akumulatorze. Marta przesunęła ręką po czole. Bolała ją głowa. Od dłuższego czasu pracowała nadmiernie, z pominięciem wszelkich zasad higieny i ekonomii, była więc wyczerpana fizycznie i nerwowo, do ostatecznych granic. W organiźmie zatrutym jadami znużenia, jedynie jeszcze intelekt i wola funkcjonowały prawidłowo, dopingując zrewolucjonizowane ciało do coraz nowych wysiłków.

Położywszy się do łóżka Marta włączyła do sieci podręczną lampę z zielonym abażurem i usiłowała czytać. Skupienie uwagi przychodziło jej jednak z trudem. Mechanicznie ślizgała się wzrokiem po czarnych znakach liter, podświadomie czujna na najlżejsze szmery i dźwięki za zamkniętymi drzwiami. W wywody Euckena, o wpływie filozofii platońskiej na uczonych średniowiecza, wplątały się co chwila bezsensowne na pozór dygresje: pytania natrętne o rzeczy przerastające o wiele zasięg ludzkiej wiedzy, nie przerastające natomiast zasięgu wyobraźni.

— Czy zachowałeś pamięć swego ziemskiego istnienia? — pytał ktoś uroczyście i ponuro, jak szaman celebrujący pogańskie nabożeństwo, na cześć umarłych przodków. Umysł Marty nastawiony na kategorie logiki, nie godził się na tego rodzaju rozmowy z umarłymi, nawet w tym wypadku, gdy duchy odgrywały w nich tylko rolę dekoracji. Marta kontakt z własną podświadomością nawiązywała raczej na drodze introspekcji i wnikliwej psychoanalizy, i drażnili ją tamci, eksperymentujący ryzykownie z cudowną ekierką i wirującym stolikiem, by z drżeniem serca odczytywać z rozpruszonych półkoliście liter alfabetu treść własnych obaw i tajemnych pragnień, przetransponowanych zbiorowym aktem woli na ruch martwych przedmiotów.

Marta nie mogąc opanować wzrastającego zniecierpliwienia zamknęła książkę i odłożyła ją na szafkę nocną.

Spać! —

Mocą wielomiesięcznego nawyku sięgnęła jeszcze po stojącą przy łóżku fotografię i oparta na łokciu wpatrywała się chwilę w twarz pięknego mężczyzny, o ironicznie zmrużonych oczach i despotycznym podbródku. — Dobranoc Zbychu — szepnęła pieszczotliwie, przesuwając palcami po szkle.

Jakkolwiek chłopiec z fotografii był dopiero jej narzeczonym, jej czułość miała w sobie konwencjonalnie nawykowe akcenty, jak małżeński pocałunek. Po naciśnięciu kontaktu ogarnęła ją ciemność tak gęsta, że prawie materialna. Za ścianą słychać było stuki i trzaski — potem głośną rozmowę. Żegnano się, komentując z zajęciem rewelacyjne wypowiedzi ducha wuja Bartłomieja, który, jak wynikało z entuzjastycznych wykrzykników osób biorących udział w seansie, okazał się dziś wyjątkowo elokwentnym. Wkońcu wszystko ucichło.

Marta przytuliła głowę do poduszki. Chwilę krążyła myślami dokoła przeżytego dnia — potem nagle, bez związku i bez przejścia, znalazła się w małym domku, za oknami którego szalała groźna burza. Płonęło niebo i drżała ziemia, po to, by do drzwi domku zapukać mógł człowiek, jak chmura czarny i złowrogi, którego nieprzyjazne wiatry gnały gdzieś, stronami, raz tylko i na krótko rozpiąwszy cień jego tragicznej doli nad pogodnym istnieniem Marty. W rzeczywistości zamienili ze sobą zaledwie kilka słów. Nie łączyło ich nic — a dzieliło wszystko. Trzeba więc było rozpętać wszystkie żywioły, by znaleźć się z nim twarzą w twarz, z dala od ludzi, w ustronnym domku marzeń na jawie, spełniających bezwzględnie, czarodziejską metodą lampy Alladyna, kaprysy skrytych życzeń.

Dlaczego właśnie obraz tego, prawie nieznajomego człowieka, nawiedza ją stale, tuż przed zaśnięciem, gdy swobodnie płynące skojarzenia wymykają się z pod cenzury woli i żyją własnym, niezależnym życiem, w oparciu o utajone głęboko, podziemne prądy instynktownych dążeń — Marta nie wiedziała. Ją samą dziwił i dręczył niewymownie fakt, że nie Zbigniew, do którego pisywała cudownie liryczne listy, w których słowo „kocham" powtarzało się więcej razy, niżby sobie tego mógł życzyć człowiek ceniący powściągliwość szczerości — lecz właśnie on, przechodzień obcy i obojętny, władał jej najskrytszymi myślami, i co noc — biorąc z jej sennych ust ostatni pocałunek, wprowadzał ją za rękę w tajemnicze regiony niebytu, tak pokrewnego śmierci, jak owoc pokrewny jest macierzystemu drzewu.

To były rzeczy absolutnie nie dające się wytłumaczyć. — I dzisiaj również korsarz podświadomości czatował na nią w ciemnej rozpadlinie na pograniczu snu i jawy, i nim zdążyła pomyśleć, znalazł się przy niej, wielki i mocny, niepokojąco rozkoszny i bliski, upragniony strasznie i męczący, przez swą całkowitą nieosiągalność w świecie realnych wymiarów. Kiedy jego muskularne ramiona zamknęły się koło niej, jak port bezpieczny i cichy, westchnęła z głębi piersi i z twarzą przytuloną szczelnie do szorstkiej wełny jego ubrania, zasnęła cicho, jak spłakane dziecko.

Nie był to jednak sen dobry i krzepiący, po którym człowiek budzi się rano świeży i wypoczęty, jak po kąpieli w kryształowej rzece. Był to sen ciężki i męczący, jak odpoczynek na dnie czarnej studni, w dusznych oparach trującego błota. Marta rzucała się w pościeli, otwartymi ustami łowiąc powietrze i jęcząc czasem z cicha. Nagle — pośrodku nocy — zbudziła się drżąc w paroksyźmie śmiertelnego lęku. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywała się w ciemność. Nie widać było nic. Leżała zanużona w atramencie nocy, sama jedna na całym świecie.

Sama? O, nie! Nie sama! I to właśnie było najgorsze. Ktoś był w ciemnym pokoju! Ktoś... lub coś... Marta czuła na twarzy ciepłą strugę oddechu i słyszała pracę płuc niewiadomego, co stało przy jej łóżku przerażająco konkretne i bliskie, wyczuwalne wszystkimi zmysłami. jak wielkie dyszące zwierzę.

Strach sparaliżował jej ciało. Nie mogła uczynić najmniejszego ruchu. Wyciągnięcie ręki do kontaktu było aktem bohaterstwa przerastającym jej siły. Leżała zlana potem, ze zjeżonymi włosami i szalejącym tętnem. Jej zęby szczękały o siebie, jak koraliki w szklance, a „to" stało i oddychało, drapieżnie groźne w swych niewiadomych zamysłach. Marta czuła, że lada chwila oszaleje ze strachu. Zaczęła więc krzyczeć. Ciemność wstrząśnięta falą głosu zawaliła się na jej głowę. Spod padających gruzów Marta krzyknęła raz jeszcze, jak sądziła donośnie i rozpaczliwie, w rzeczywistości zaś tak cicho i nieśmiało, że cień jej wołania nie był zdolny obudzić nikogo, prócz matki.

Przydreptała z głębi mieszkania w filcowych pantoflach cicho jak duch. Białe światło trysnęło spod sufitu i zakrzepło w znane bryły przedmiotów.

— Co się stało?

— Och, nic!

Wobec jaskrawej rzeczywistości przytulnego wnętrza, dziecińsiwem wydał się strach i nocne przywidzenia.

— Idź spać, kochana! Przykro mi, że cię zbudziłam. Musiało mi się coś śnić...

— Zgasić?

— Nie — nie! Poczytam jeszcze chwilę!

Matka odeszła bezszelestnie, w swoich filcowych pantoflach, wlokąc za sobą cień, jak tren nocnej koszuli. Marta ostrożnie obmacywała wzrokiem kąty pokoju i załamania mebli. Nigdzie nie było nic! — ...Zwolna uspokajało się serce i oddech powracał do normy. Po chwili spała już głęboko i spokojnie nie odchylając twarzy od rażącego światła palącej się lampy.

Nazajutrz, monotonny stukot kół pociągu zrywał się na zwrotnicach. Wesołe, białe domki wyskakiwały z zieleni, jak świerszcze, i jak świerszcze bez śladu zapadały w zieleń. Ludzie o twarzach płaskich, jak wycinanki zajadali chleb z masłem i jajka na twardo, popijając je prosto z flaszki czerwoną lemoniadą.

Marta w podręcznej walizce wiozła tylko tom wierszy i kostium kąpielowy. Stojąc w otwartym oknie wagonu pozwalała prądowi powietrza chłostać swe blade policzki i burzyć misternie zaczesane loki.

W miarę, jak pociąg pozostawiał za sobą przebyte kilometry, rosły błękitne góry na horyzoncie i rosła radość w sercu Marty. Niepostrzeżenie, usiadł na jej ustach uśmiech, jak rzadki motyl o wzorzystych skrzydłach. Pan w brązowym kapeluszu, spacerujący po peronie stacji, wziął nagły cud do siebie, i przystanął oczarowany. Pociąg tymczasem pędził już dalej, ku wiosce małej, jak zabawka, gdzie nad brzegiem niebem płynącej rzeki, przeciąga się na wygrzanym piasku najcudowniejsze zielone lenistwo, gdzie ukryta w gąszczu kukułka wykukuje według swej woli zartobliwe fantazje godzin, a ziewające słońce kołysze się do ich wtóru w hamaku uplecionym z wierzbowych gałęzi.

Odpoczynek!

Marta syciła się tym słowem, jak słodkim sokiem z dojrzałej pomarańczy.

Rozgryzła je zębami, aż do samego jądra i wiedziała już jak smakuje.

Smakuje jak zdrowie!

Ewa Moriarti

EDWARD GRIEG

W stuletnią rocznicę urodzin wielkiego kompozytora.

Aby ocenić, czym był niegdyś w świecie muzycznym Edward Grieg i czym on jest dziś — musimy się cofnąć myślą w lata ubiegłe. W latach 80-tych XIX-go stulecia zakończyła się walka o wielkość Ryszarda Wagnera tym, że Wagnerczycy nadal uprawiali swój kult mistrza, kult, który wkrótce nabrał cech sprawy narodowej. Konserwatoria zbliżyły trzech „Wiedeńskich klasyków" szerokim kołom wielbicieli romantycznej muzyki niemieckiej — i zwolennikom lekkiej muzyki stojącej wówczas na niskim poziomie, gdyż grano utwory muzyczne w guście „Modlitwy dziewicy". Brahms był zaledwie znany, poza tym kompozycje jego wymagały zdolnych i wyszkolonych wykonawców, nic więc dziwnego, że rozwinęło się zamiłowanie do szlagierów, wspierane przez muzykę operetkową, z którą, broń Boże, nie należy mieszać wspaniałych partytur Jana Straussa. Nagle rozległ się całkiem inny ton i ton ten zadźwięczał z Północy; najpierw uderzył weń Niels W. Gade, a później Edward Grieg. Porwał też słuchaczy, rozchwytywano jego kompozycje, rzucono się na jego pieśni, na dziesięć zeszytów lirycznych utworów — na wspaniały, czarujący Koncert fortepianowy, na trzy sonaty na skrzypce i fortepian, na sonatę fortepianową e-moll. Z Ibsenem przyszła i muzyka Griega ilustrująca „Peer Gynta", potem pojawiły się kolejno: „Szlagier", „Marsz weselny na Troldhaughen" i pieśń: „Ja kocham cię". Wojna światowa przyniosła niewiele zmian, dopiero później oddziałał silnie Maks Reger i częściowo zapomniano o Griegu, częściowo przesycono się nim, a częściowo przeszedł do repertuaru muzyki salonowej. W ten sposób załatwiono się z Griegiem. Zasłużona sława przeminęła szybko, poczęto Griega po prostu unikać.

Gdy więc w dniu 15. 6. 1943 r. obchodzi się stuletnią rocznicę jego urodzin, to w dzisiejszym wspomnieniu, nie chodzi tyle o zaznaczenie jubileuszu, lecz o rozważenie dwóch zagadnień: pierwszym z nich to kwestia szybkiego przeminięcia rozbłyśniętej sławy, przy nieprzemijającej wartości artystycznej kompozytora, a drugim, to stanowisko muzyki Griega w dzisiejszym życiu muzycznym. Grieg, ten surowy, wytrwały jak Wiking mistrz zasługuje na to, by zainteresować się tymi problemami. Grieg był dokładnym, starannym pracownikiem. Kształcił się w Lipsku i ten okres czasu na zawsze pozostał w jego pamięci. Czyż jego to winą było, że był na ustach wszystkich? że go spospolitowano? że się nim z czasem przesycono?

Grieg urodził się dnia 15. 6. 1843 w Bergen i tam także zmarł 4 września 1907 r. Jego kompozycje młodzieńcze olśniły słuchaczy, stały się głośne tak jak dzieła Szumanna, z którym ma wiele podobieństwa. Nie można było nie słyszeć jego indywidualnych, z głębi duszy płynących harmonii i dźwięków. Były one chłodne, czyste, umiarkowane w uczuciu, niezbyt gorące nawet w erotyce!

To wszystko czarowało. Moda i przedsiębiorstwa zawładnęły całą duchową twórczością kompozytora i Grieg stał się modnym. Nie można było oprzeć się urokowi melodii i harmonii Griega. Obie mogą jeszcze dziś stać się „ideą fixe". Melodie Griega są silniejsze i bardziej przejmujące niż Pucciniego. Poeci i powieściopisarze pochodzący z Północy poszli w zapomnienie. Grieg jednak pozostał! W latach 1867-1877 żył w Christiani jako nauczyciel muzyki, potem odbywał tournee po Europie i Ameryce dając wspaniałe koncerty. Wielki entuzjazm wzbudził wszędzie, a zwłaszcza w Północnej Ameryce. Jego „Koncert fortepianowy" jest porywający, nie tylko w harmonii wielkiej kadencji pierwszej kompozycji, lecz zwłaszcza w całej rytmice. Grieg jest bezpośrednim rytmicznym poprzednikiem tanga, jazzu i to było najgłębszą przyczyną (bynajmniej przez niego nie pożądaną) spospolitowania. Grieg jest w pierwszym rzędzie rytmikiem — jest solidnym uczniem Sebastiana Bacha, chociaż nie napisał ani jednej fugi, ani żadnego kanonu. Bo to co jest nieodłączne od Griega elegia, heroizm, wielkie wzruszenie serca, przewyższa nastroje północne. Dlatego nie można zapomnieć o Griegu, ale dlatego należy też i ostrzec przed modą „griegowską", bo popaść w szablon i powierzchowność jest łatwo, łatwo można się nią przejąć i łatwo przy tym zapomnieć o głębokim podkładzie muzyki Griega. Pieśń „Solveigi" albo „Berceuse" są wprawdzie utworami Griega, ale nie posiadają charakterystycznych cech jego twórczości.

Dzieła Griega nie są obszerne, ale odznaczają się niesłychaną wnikliwością i wielką subtelnością, nie znoszą więc, by je ktoś jeszcze bardziej podkreślał i przejaskrawiał. Należy chronić wielkiego, o czystym tchnieniu artystę przed „pseudomuzykami", przed „dyletantami, którzy starają się przewyższyć nastrój nadany przez mistrza i tym mu szkodzą. Gdyby wyrobu misternej kopenhaskiej porcelany nie chroniły marki fabryczne i ona straciłaby na wartości i zostałaby spospolitowana, mimo swej delikatności. Kto ochroni wielką sztukę Griega przed nadużyciem? Gdyż jakże łatwym do uszkodzenia jest delikatny Grieg. Kto ochroni słoneczne, jasne, świeże pomysły mistrza Griega przed wypaczeniem i przesytem, które wszystko rozdepcą, a potem porzucą jak bukiet kwiatów zapomnianych w pustym przedziale pociągu wycieczkowego?

Sztuka Griega jest jak świeże powietrze, jest to chłodny, jasny północny promień słońca, są to subtelne drgania duszy artysty, jak to pięknie wypowiedział Bent Berg w swoim dziełku: „Mój przyjaciel Regenpfeifer". Dołączmy do tego czar nocy letniej, korowody elfów, zjawy kobołtów, wspomnienia, wiele wielkiej, poważnej, bez słów, a bogatej w melodię miłości i obce poważne harmonie — jakich się dotychczas prawie nie słyszało: oto charakterystyka jego sztuki.

Grieg pojmował swoją sztukę bardzo rzeczowo i bardzo ściśle. Gdyby go kto chciał z tej strony poznać — niech weźmie wydanie jego koncertu a-moll z objaśnieniami Graingera (Wydawnictwo Petersa 21, 64a) a zdumieje, jaką ścisłością odznaczał się ten mały Wiking.

Pielęgnowanie muzyki Edwarda Griega jest i pozostanie kulturalnym obowiązkiem, tak jak czyste, pracowite życie artysty Griega będzie zawsze wielkim i pięknym wzorem dla ludzkości.

Dr. A. G.

NOCNA WIZYTA

TADEUSZ BERNAŚ

Dyrektor Orski dopiero późnym wieczorem wrócił do swej podmiejskiej willi... Zmęczony był bardzo. Wyczerpała go praca i zabiegi związane z przeprowadzeniem fuzji z potężną konkurencyjną firmą. Pracował nad tym całe trzy lata. Dziś nareszcie udało mu się dopiąć celu, który mu spędzał sen z powiek przez wiele długich nocy. Wszedł do swego gabinetu, nie budząc służby otworzył szufladę pięknego mahoniowego biurka, schował kopię aktu połączenia firm i inne papiery i zamknął starannie szufladę.

— Niech sobie poleżą — rzekł do siebie z uśmiechem — wszystkie ważne papiery muszą się odleżeć, to dobrze robi, a my zarobimy na tym grubo, nim kto co zwącha. Świetny interes!!

Zgasił światło i przeszedł do sąsiedniej sypialni. Zamknął okno, pozostawiając tylko uchylony wietrznik. Do pokoju płynęły z ogrodu świeże kwiatowe wonie. Orski w ubraniu położył się na kanapie.

— Janowa będzie gderać — przemknęło mu przez myśl — niech tam! Nie mam siły...

Wkrótce spał. Księżyc wypłynął wyżej na niebo i zajrzał ciekawie do pokoju. Musnął bladym zimnym promieniem twarz śpiącego. Orski poruszył się niespokojnie. Księżyc nie ustępował... Wreszcie Orski otworzył oczy. Zły był na siebie, że nie zasłonił okien, bo snu potrzebował ogromnie. Zwlókł się ciężko z kanapy i podszedł do okna. Już miał sięgnąć do sznurka od story, gdy wtem usłyszał za drzwiami prowadzącymi do gabinetu jakiś podejrzany szmer.

— Co to może być? — pomyślał. Sięgnął po rewolwer i na palcach podszedł do drzwi. Na szczęście nie były całkiem zamknięte. Orski wiedział, że otwierają się cichutko. Pchnął je delikatnie i bezszelestnie wsunął się do gabinetu. Przy swoim biurku ujrzał siedzącego tyłem jakiegoś mężczyznę z odkrytą głową, w jasnym sportowym płaszczu. Nieproszony gość świecił sobie małą latarką i przeglądał papiery.

— Ręce do góry! — rzekł cicho, lecz dobitnie Orski. Mężczyzna drgnął, lecz nie spełnił żądania i nie odwrócił się.

— Ręce do góry — bo strzelę! — powtórzył Orski chrapliwie i błyskawicznie przekręcił kontakt.

Fala światła zalała pokój. Wtedy „gość" wstał z fotela i wolno odwrócił się. Był wysoki, postawny, mógł mieć około trzydziestu lat. Miał piękną rasową twarz o wydatnej dolnej szczęce, znamionującej silną wolę.

— Panie Orski...

— Stać! — krzyknął podniecony dyrektor.

Przybysz zaśmiał się.

— Wie pan co, — rzekł — po pierwsze niech pan schowa ten genialny instrument do uśmiercania ludzi, ja jestem bezbronny, może pan sprawdzić. Druga rzecz, to proszę się nie unosić tak, bo gdyby ktoś popatrzał na nas z boku, gotów pomyśleć, że to pan jest gościem u mnie, a nie ja u pana i, że pan się więcej boi ode mnie.

— Kto pan jest? Co pan tu robi? Czy... czy... — zachłysnął się, w najwyższym zdenerwowaniu Orski. Nieznajomy spoważniał.

— Hm, słuszne pytanie. Pewnie chciał pan spytać, czy nie jestem przypadkiem wysłannikiem jakiejś konkurencyjnej firmy, żerującej na sensacjach ze świata handlu i przemysłu. Otóż, drogi dyrektorze, niech panu kamień spadnie z serca: nie jestem nim, nie jestem też reporterem brukowej gazety. Ale proszę, niechże pan siada i schowa wreszcie tę pukawkę, ręka panu drży.

Orski mimo woli spełnił jedno i drugie. Był zły, a jednocześnie chciało mu się śmiać. Jeden rzut oka na biurko upewnił go, że wszystkie papiery są. Odetchnął. Tymczasem „gość" usiadł wygodnie na przeciwko i ciągnął dalej swobodnym tonem światowca:

— Pytał pan kto ja jestem. Nazywam się Ryszard Pyzik.

— Pyzik?

— Rozczarował się pan. Pewnie lepiej by brzmiało np. hrabia Dąb-Jodła Sośnicki, albo Grzmot-Pękalski. Takie nazwisko zostawił mi mój ojciec. Lecz nie mam do niego o to żalu. Owszem, często nazwisko to w zestawieniu z moją osobą przynosiło mi korzyść. Ktoś kiedyś nazwał mnie kontrastowym człowiekiem. Wszyscy biorą mnie za bogatego przemysłowca, inżyniera, czy lekarza, a jestem, mówiąc kwiecistym stylem, poszukiwaczem przygód.

— Tak — rzekł Orski — Ryszard może być, ale...

— Ale Pyzik — chciał pan powiedzieć. Wszyscy mi to mówią. Moje imię i nazwisko, to niebo i ziemia, brylant i szkło z butelki. Nawet pańska żona.

Orski drgnął.

— Co, moja żona, skąd pan?!

— Spokojnie kochany dyrektorze, spokojnie!

— Skąd pan, panie, eee...?

— Pyzik do usług.

— Właśnie, panie Pyzik, skąd pan wie coś o mojej żonie. Wypraszam sobie!

— Skąd? To dobre! Po prostu żyje ze mną!

— Irma?

— Tak. Dziwi to pana?

— No, no, nigdy nie miałem o niej zbyt wielkiego wyobrażenia, ale nie przypuszczałem, żeby po porzuceniu mnie mogła się związać z takim, jak pan. — Hm...

— Kobiety mają kaprysy. Proszę, niech pan powie co panu leży na sercu, ulży panu, a ja nie obrażę się, powtarzam. Jakże to — taki Pyzik i Orski, dyrektor i to zaraz po intratnej fuzji.

— Skąd pan wie o tym? — wybuchnął Orski. W tej chwili spojrzał na piętrzące się na biurku papiery i uspokoił się. Pyzik uśmiechał się.

— Niech pan będzie spokojny. Ta sprawa nic mnie nie obchodzi. Otóż Irma ma również pretensje do mego nazwiska. Mówi, że powinienem się nazywać bardziej fonogenicznie. Ale, ale, czy nie ma pan czegoś do picia?

Orski podszedł do szafki i wyjął z niej butelkę wina, dwa kieliszki i biszkopty. Nalał i podał Pyzikowi. Wypili.

— Czy to Irma pana przysłała?

— Tak.

— W nocy?

— To mój ulubiony system.

— Przecież mógł pan zgłosić się do mnie oficjalnie.

— Nie, panie dyrektorze. Zresztą, czego to się nie robi dla kobiety? — dodał sentencjonalnie.

— Więc Irma kazała panu przejrzeć potajemnie moje papiery?

— Tak i doprawdy przykro mi niezmiernie...

— Że pana złapałem — przerwał mu Orski.

— Och, nie, to się zdarza nawet ludziom na eksponowanych stanowiskach. Mam wyrzuty sumienia z powodu przerwania panu zasłużonego odpoczynku.

— Czy pan kpi?

— Bynajmniej. Ma pan świetne wino dyrektorze. — Wypił znowu. — Nie kpię. Gdzieżbym śmiał! Tylko jestem w ogóle za delikatny. Dotychczas na przykład nikogo nie zabiłem, co się może dla mnie smutnie skończyć...

— Dlaczego?

— Po prostu może mnie ktoś zabić, tak, jak pan to chciał uczynić przed chwilą, zaskoczony nieco moją niespodziewaną wizytą.

Orski poruszył się niespokojnie w fotelu. Pyzik wypił trzeci kieliszek wina i zajadał ze smakiem biszkopty.

— Czegóż Irma kazała panu szukać w moich papierach?

— Kiepski z pana psycholog, dyrektorze — kobiety!!!

— Kobiety?? Nie rozumiem.

— No, jakiegoś listu, zarzuconej fotografii, czy czegoś w tym rodzaju.

— Po co jej to? Przecież wykreśliliśmy się wzajemnie ze swego życia.

— Kobietę trudno odgadnąć. Każda z nich to chodzące nieporozumienie i uosobienie ciekawości. To właśnie jest w nich pociągające.

— Może pan ma i rację. — Pyzik spojrzał na zegarek.

— O, już czwarta — czas na mnie. Przyjemnie się z panem gawędzi, ale co by powiedziała Janowa gdyby mnie tu zastała powiedzmy o piątej rano — prawda? Byłaby co najmniej zdumiona, a ja diablo nie lubię zdumionych kobiet...

— I nic więcej nie ma pan mi do powiedzenia?

— Nie, dyrektorze, tyle tylko, że muszę coś pikantnego wymyśleć, bo niczego „obciążającego" u pana nie znalazłem, a z Irmą nie ma żartów. Do widzenia.

Orski podał mu rękę zamyślony i rzekł z przestankami.

— Pan wybaczy, ale powiedzmy, finanse — hm, wiem ile kosztuje taka kobieta jak Irma.

— Broń Boże — żachnął się Pyzik, ściskając mocno dłoń Orskiego — serdecznie dziękuję i odmawiam... Nie przyszedłem pana szantażować. Przecież cała nasza rozmowa była, że tak powiem, igraniem z ogniem, tańcem nad przepaścią. Bo skąd pan miał pewność chowając rewolwer, czy ja nie wyjmę swego i nie palnę panu w głowę? Zastał mnie pan przecież w sytuacji niedwuznacznej! Z drugiej strony ja nie miałem żadnej gwarancji na to, czy pan przed wejściem do gabinetu nie zaalarmował policji... Szanse były prawie równe... Zakończmy więc tę naszą grę, jako dżentelmeni. Jestem panu niewymownie wdzięczny za miłe spędzony czas. Proszę mi nie psuć złudzeń, że bodaj przez moment byłem gościem człowieka z ustaloną pozycją w tak zwanym świecie. Niech mi pan zostawi te złudzenia. Żegnam! Pozwoli pan, że wyjdę tą samą drogą, którą tu wszedłem. — Uśmiechnął się i po chwili zniknął za oknem.

— — — — — — — — — — —

Rano stwierdził Orski brak portfelu z gotówką i dokumentami. Popołudniowa poczta przyniosła mu portfel, dokumenty i list od Pyzika. Pyzik pisał: „Szanowny Panie Dyrektorze! Zwracam portfel i dokumenty. Gotówkę zatrzymuję. Nie mogłem jej przyjąć wprost od Pana, bo potraktował mnie pan jak gościa, a cóż jest wart gość przyjmujący jałmużnę? Tak jest lepiej — to mój fach. Za to wspomnienie wizyty u Pana pozostanie dla mnie zawsze miłe i piękne. Życzę Panu powodzenia w Pańskich poczynaniach.

Szczerze oddany

Ryszard Pyzik".

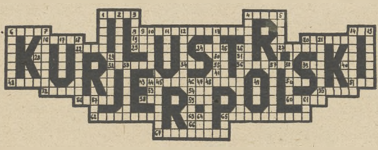


— Dawniej malowałem drapieżne zwierzęta, ale malowanie aktów wydaje mi się rzeczą bardziej podniecającą.

Die Grüne Post

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA
UŁ. Z. A. Z NOWEGO SĄCZA

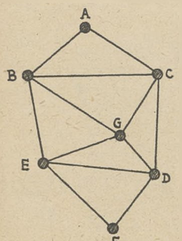


Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1) farsa, krotochwila; 4) styl; 6) duchowny mahomet.; 8) radioodbiornik posiadający duzy zasięg; 14) rodzaj laku; 16) muza pieśni miłosnych; 19) zdrob. imię żeńskie; 20) sygnał świetlny; 22) choroba skórna; 23) siatka; 24) hełm; 26) przyimek, 27) sekret, tajemnica; 28) litera grecka; 29) rzeka we Włoszech; 30) przyimek; 31) miara powierz.; 32) łukowe sklepienie na filarach; 34) pukiel, kędzior; 35=31); 36) bęben; 39) owad; 40) litera (fonet.); 41) zaimek; 42) brunatna trwała farba; 43) przyrząd mierniczy; 50) powozik dwukołowy; 51) stopień w marynarce; 52) stado dzikich koni; 53) symbol chem.; 54) matka Zeusa; 55) widmo, maska, straszydło; 56) ton, odcień; 58) dokument; 59) część portu; 60) część ubioru liturg.; 62) krewki, zapalczywy; 63) postać biblijna; 65) budowa zdań i okresów; 66) zaimek łac.; 67) sala klasztorna.

Pionowo: 1) tłocznia; 2) przyrząd sygnałowy; 3) pierwiastek chem.; 4) emalia; 5) rodzaj kołnierza; 6) tytuł dawany kompozytorom muzycz.; 7) balon; 9) mieszkanie pszczół; 10) klapka u kieszeni; 11) pięcioksiąg Mojżesza; 12) lekarz; 13 napój chłodzący; 14) krajobraz; 15) gra towarzyska; 17) materia jedwabna; 18) ozdoba; 20) egipski bóg słońca; 21) krzywa szabla; 25) jednostka próby złota; 26) wodospad; 29) ozdobny talerz; 33) celownik u strzelby (wspak); 37) gwóźdź z szerokim łebkiem; 38) próżniak, leniuch; 44) skorupiak; 45) autobus turystyczny; 46) porządek, szyk; 47) moneta skand. (wspak); 48) poprzeczka na przeszkodach wyścigowych; 49) rzadki metal; 57) część twarzy; 61) miasto w Rosji; 64) „wschód" w jęz. obcym; 65) kołpak turecki.

ZAWODY KOLARSKIE



W jednym z miast urządzano zawody kolarskie. Przed rozpoczęciem jazdy dostał każdy z zawodników plan trasy, którą należało sobie jak najdokładniej zapamiętać, gdyż zarząd miasta urządzający te zawody postawił następujące warunki: każdą ulicę wolno było tylko raz przejechać a skrzyżowanie ulic najwyżej dwa razy. Zawody rozpoczynają się i kończą w miejscu oznaczonym literą A. Którędy powinni cykliści jechać by zadość uczynić powyższym warunkom?

Obok podajemy plan trasy:

ŚWIAT SIĘ

— Panno Magdaleno, śniło mi się tej nocy, żem się chciał z miłości do pani zastrzelić.

— To niech pan pomówi z moją mamą.

— Ani mi się śni.

•

— Wiktusiu, dlaczego nie powiedziałaś mi przed ślubem, że masz sztuczne zęby?

— Bo chciałam, żebyś się ze mną z miłości ożenił.

•

Żebrak: — Prosiłbym panią o coś do zjedzenia... już od trzech dni nic w ustach nie miałem.

Pani: — Poczekajcie, aż mąż przyjdzie do domu.

Żebrak: — Dziękuję nie jestem ludożercą.

•

— Uszczęśliwisz mnie bardzo Lizo, o ile zechcesz podzielić mój los z sobą.

— Bardzo chętnie, panie Józiu, ile pan wygrał?

•

— Dlaczego wylałaś zupę do wazonika?

— Bo tatuś powiedział, że to czysta woda.

•

— Za karę będziesz klęczał tak przez dziesięć minut.

— A czy mogę zmówić przy tym pacierz wieczorny?

•

— I czy rzeczywiście zakochałaś się w Karolu od pierwszego wejrzenia Kasiu?

— Tak, ja tak zawsze robię, to mi oszczędza dużo czasu.

•

— Dla pani poszedłbym pieszo na biegun północny.

— To niech się pan już zabiera, nie mam nic przeciwko temu.

•

— Chciałbym mieć żonę młodą, piękną, bogatą, uczciwą, rozsądną i kochającą.

— Rozumiem, ale łaskawy panie poligamia jest u nas wzbroniona.

•

— Im wcześniej, tym lepiej — powiedziała młoda mężatka rodząc w tydzień po ślubie dziecko.

•

— Jak się czujesz w małżeństwie?

— Jak w teatrze. Scena za sceną.

•

— Czym zostanie pański syn po skończeniu prawa?

— Starcem.

•

— Kazała się spalić po śmierci.

— Tak za życia też uważała, że lepiej jej z opalenizną.

•

— Czy te cztery panny, co u pana mieszkają, to są pańskie córki?

— Nie, to są córki mojej siostry.

— I cóż one u pana robią?

— Ja wziąłem je tylko w komis.

•

— Doktorze jak cierpię! Daj mi umrzeć!

— Nie potrzebuję rad! Znam dobrze swój zawód.

•

— Jeśli w tym roku dopiszą interesy, to pojadę na dwa tygodnie do Paryża, żeby się zabawić.

— No, a jeśli nie dopiszą?

— To wezmę ze sobą żonę.

•

— Ciekawam w jaki sposób skłoniła pani swego męża do wczesnego przychodzenia wieczorem do domu?

— Och bardzo prosto — gdy tylko wracał później pytałam go tęsknym głosem: Czy to ty Jasiu?

— No i co dalej?

— Nic dalej. To było wszystko. Mój mąż bowiem ma na imię Karol.

•

Pan Jan dzwoni telefonicznie do szpitala wariatów:

— Panie dyrektorze, czy nie uciekł stąd żaden umysłowo chory?

— Albo co?

— Wczoraj wieczór uprowadził ktoś moją żonę.

•

— Ależ mąż pani, to szalenie twarda głowa. Niełatwa z nim sprawa. W jaki sposób go pani poznała?

— Podlewając raz kwiatki na balkonie, przez nieuwagę strąciłam wazonik, który spadł mu na głowę.

•

— W jaki sposób została pani szczęśliwą małżonką?

— Przez pośrednika małżeństw.

— Czy to możliwe?

— Ależ tak. Ożenił się ze mną.

•

— A teraz grać będziemy o fanty z całusem.

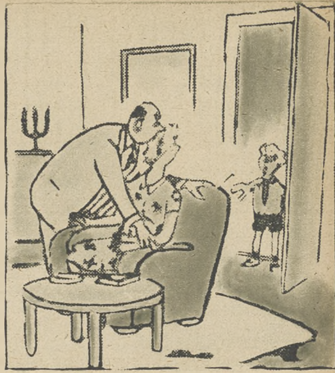
— Nie ma sensu.

— Dlaczego?

— Bo do tego nie potrzeba żadnej gry.

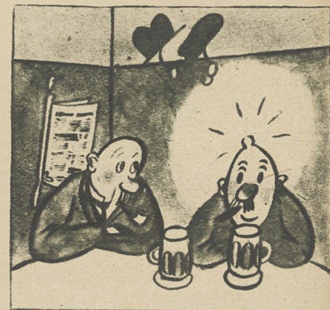
•

ŚMIEJE



— Niech tatko przestanie, bo zaraz powiem pokojówce Marysi, że ty całujesz mamę!

Die Grüne Post



— A nie radziłem ci, żebyś kupił żonie pantofle ze słomianą podeszwą, a nie drewniaki!

Kölnische Illustrierte Zeitung



— Panie dyrygencie, czy nie mógłby mi pan ustąpić na dzisiejsze przedstawienie swego miejsca? Pan przecież ma ten widok prawie codziennie.

Hamburger Illustrierte



— Zaprzestań, Józiu, tych głupich żartów!...

Koralle

Santorin
TAJEMNICZA WYSPA

Fot. Tschira

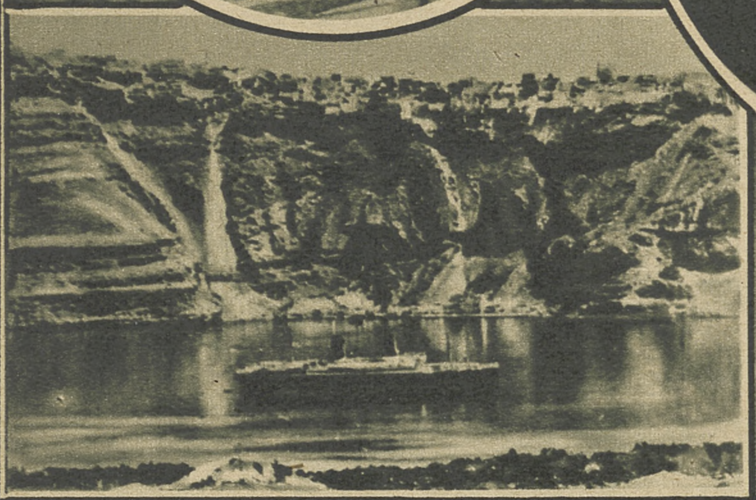


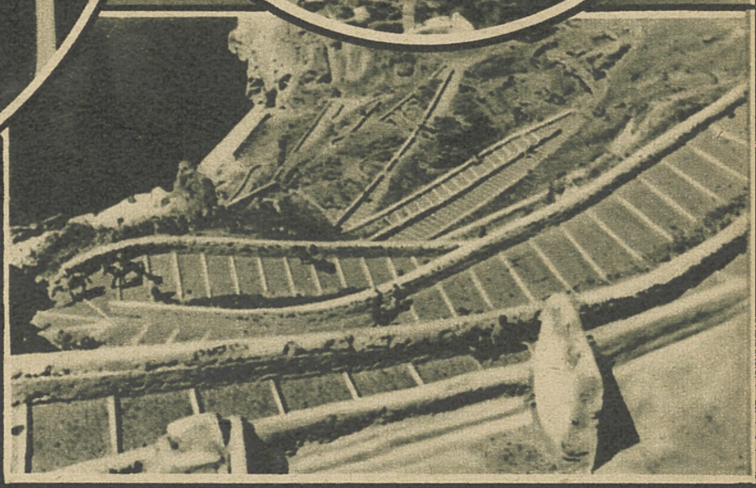
Na lewo: Uroczysta procesja



Obok: Kapłan z Santorin.





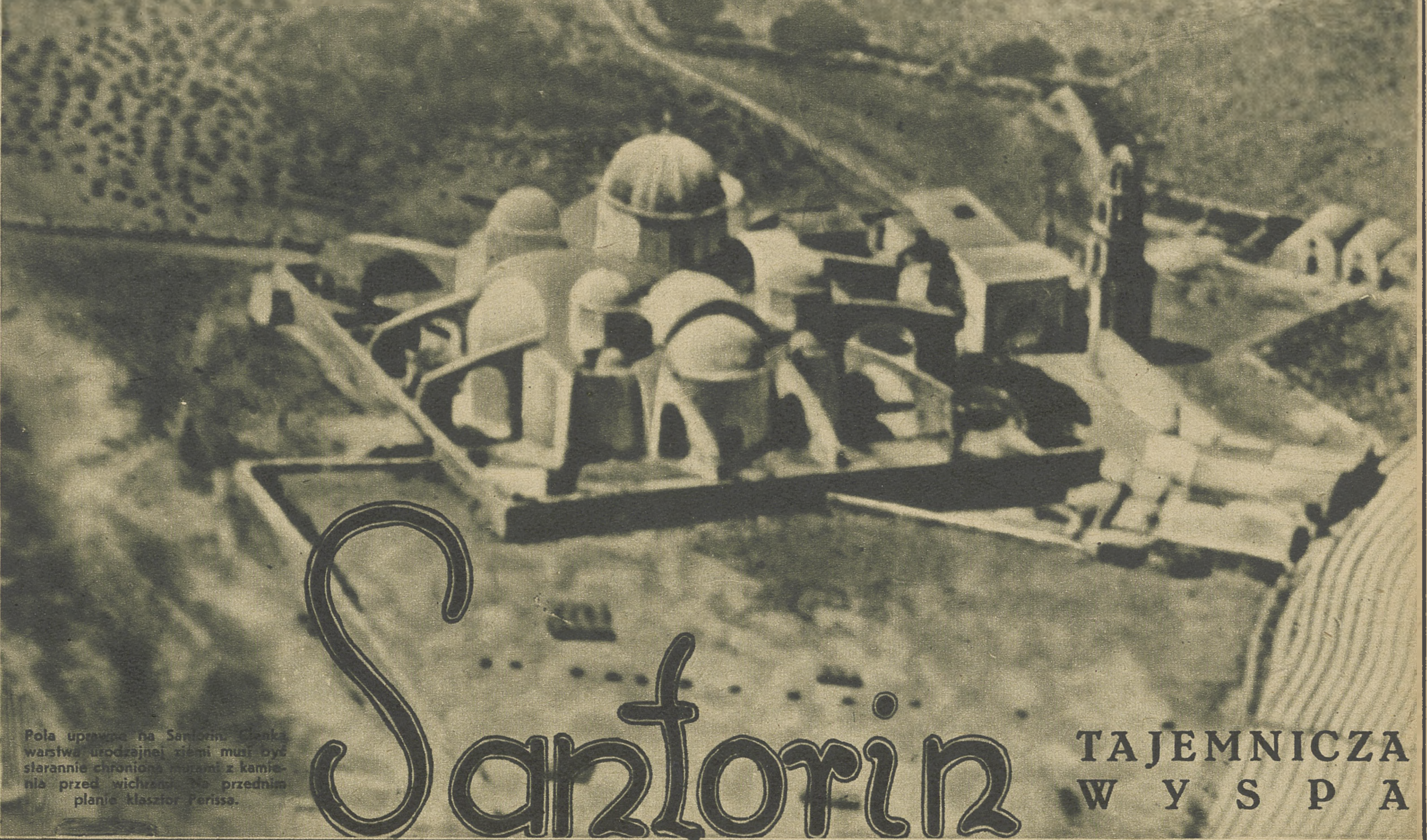


Na prawo u góry: W czasie uroczystości pasyjnych mieszkańcy Santorin zawieszają na krzyżu kukłę wyobrażającą Judasza.

Na lewo: Okręt wjeżdża do zatoki, będącej dawnym kraterem wulkanu. Powyżej nad samym brzegiem krateru leży stolica wyspy.

Na prawo: Ulica w formie schodów biegnie w serpentynach z małego miasta portowego, które ma znamienną nazwę „Skała" do krateru. Wozów tu mieszkańcy nie używają.

Przed tysiącami lat, w czasach okrytych mgłą przeszłości zapadł się ląd między Małą Azją a Grecją i pozostało z niego zaledwie kilkadziesiąt wysp, jakby filarów mostu łączącego Europę z Azją. Wśród tych wysp zwanych archipelagiem Cyklad, znajduje się najbardziej odległa od Europy wyspa Santorin. Legenda starożytna mówi, że wyspa ta jest dziełem rąk samego Zeusa, że powstała w czasach wstrząsających światem, potężnych walk Zeusa z Tytanami. Bóg wulkanów, Hefajstos również napiętnował tę ziemię, gdyż Santorin leży w wulkanicznej strefie Morza Śródziemnego. Od dawien dawna trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów niepokoiły wyspę, odrywały od niej lub dorzucały części lądu i całą wyspę pokrywały popiołem i kamieniami. Wszędzie tu napotykamy niezwykłe formy, nie tylko w przyrodzie, lecz również w stylu domów i miast, wciąż na nowo budowanych na gruzach dawnych. Przyroda wycisnęła swe piętno również i na ludziach, którzy odznaczają się namiętnością południowców, religijnością często nawet przechodzącą w bigoterię, posiadają oni dużo zapału do pracy i nigdy nie ulegają w walce z przyrodą. Na każdym kroku napotykane ruiny i wykopaliska, oraz resztki dawnych budowli są legendarnym echem archaicznych czasów greckiego świata wysp, cichym poszeptem dawno minionej przeszłości, świadczą o rozkwicie wyspy w czasach Hellenów, o walkach Rzymu ze starożytną Grecją, przemawiają także do wyobraźni głosem średniowiecza, kiedy to wyspa była areną zmiennych kolei świata otaczającego ją, kiedy to stała się łupem Wenecjan, a następnie na zmiany stanowiła kryjówkę piratów morskich lub punkt oparcia dla władców panujących nad Morzem Śródziemnym. Wszystkie te wydarzenia pozostawiły widoczne ślady swej bytności począwszy od wykopalisk archaicznych aż do wielu tureckich meczetów i dumnie wznoszących się zamków książąt włoskich. Liczne świątynie należące do różnych wyznań świadczą o zaciekłych szalejących tu niegdyś walkach religijnych. Mamy wrażenie jakby życie na wyspie stale pulsowało silnym tętnem, a człowiek musiał staczać ciężkie walki z przyrodą i z jej wszystkimi kataklizmami, a nawet z niedostatkiem wody charakterystycznym dla tego kraju i zawsze wychodził z tych walk zwycięsko. Dziś jeszcze muszą mieszkańcy przechowywać wodę deszczową w głębokich cysternach pod domami. Wielkie niegdyś bogactwa tej wyspy przyciągały doń kupców ze wszystkich krain. Dziś zamieszkuje ją ludność uboga, wytrwała i pracowita, żyjąca z płodów swej mało urodzajnej ziemi. Eksportuje wino i wczesne jarzyny, a także wyroby swej sztuki garncarskiej, której początki sięgają pradawnych czasów.



Pola uprawne na Santorin. Cienka warstwa urodzajnej ziemi musi być starannie chroniona murami z kamienia przed wichrami. Na przednim planie klasztor Perissa.